Spełnienie

Kiedy tak chodzili wzdłuż rzeki, wśród zarośli, śmiejąc się do siebie i nie tylko do siebie, obserwując nurzające się [illegible] w wiosennym nurcie wody poczerniałe gałęzie, zatrzymywał się czasami i zostawał z tyłu. Brzmiały mu jeszcze w uszach na przemian raz dostojne, jak ta rzeka majestatyczne tony mendelsonowskiego marsza, to znowu jakby ulatywały w powietrze wywirowane przez rozbawioną rzekę prędkie i wspaniałe pastisze bachowskiej fugi. W gruncie rzeczy nie liczą się te tygodnie czy nawet miesiące przetrawione argumentami wielu stron, czy też w końcu bezwładnym, niby wyalienowanym z odczuć oczekiwaniem jutra, tego przyszłego dnia, który ma być jedyny, niepowtarzalny i nowy. Wszystkie te tygodnie przed tym jednym dniem prawie dla niego nie istniały. Od tego jest zapobiegliwa ciotka z tradycjami w kącikach ust, zafrasowana matka porządkująca po raz któryś pożółkłe dokumenty, wreszcie administracja dbająca o to by złożyć podpis wszędzie tam, gdzie należy. Toteż, gdy teraz zatrzymywał się przy brzegu rzeki kontemplował nad ową triadą swojego żywota. Dni przeżyte przed ową sobotą i niedzielą wydawały mu się jakieś [illegible], czasami pozbawione realiów, błogie, infantylne jak całe narzeczeństwo. Moment ślubu to kilkadziesiąt godzin jakiegoś nieznanego żywota, okres nowych doznań określonych szacunkiem, powagą godną chwili, w której następuje kolejny etap ludzkiego przeobrażenia. I wreszcie chwile poślubne, kiedy człowiek zaczyna zdawać sobie sprawę z faktu, że ktoś ma do niego prawo, ktoś rozporządza jego dniem i nocą. Przed oczami pojawiły się znowu dwie drogi wysciełane dywanami. Tam, na miękkich kobiercach uległ dziwnej imaginacji, doznał paradoksu skojarzeniowego, który okazał się chwilą radosną. Kiedy kroczył po puszystym dywanie Urzędu Stanu Cywilnego znikli mu nagle sprzed oczu goście weselni, rodzice. Błyszczący orzeł przypięty do piersi dostojnego urzędnika rozwinął swe srebrzyste skrzydła i tchnął w ciszę organowe solo bachowskiej fugi aż zadrgały łuki ścian, rozbłyszczała się posępna kolumnada. Potem niby nowe tchnienie rozwarliły się po sali szybkie, skoczne tony, by po chwili [illegible] potężnym akordem kilkudziesięciu tonów.

Słuchał tego grania i gdy skończyła się cała uroczystość długo jeszcze nie docierały do niego uściski, gratulacje, ogólne wiwaty. Kiedy po pa godzinach szedł po długim chodniku milczącej katedry, zagrał mu między kolumnami, w zwieńczeniu nawy mandelsonowski marsz weselny, i niby chor lik naigrywał się z niego wybrzmiewając to z załomów sczerniałych ławek to z trąbek barokowych aniołków wiekami głoszących tajemnicze melodie. Ale on szedł radosny z tego bachowskiego grania, ze spełnienia się tamtej chwili, by dotrzeć owego ołtarza dawno przebrzmiałej młodos W pamięci przewijały mu się kłopotliwe, pełne niedomówień dialogi prowa wz apodyktycznym księdzem w trakcie przedślubnych pouczeń. Przypominał sobie rozmowę, kiedy punkt po punkcie, z młodzieńczym zapałem zbijał argumenty arystotelesowskiej "pierwszej przyczyny", [illegible] wniwec pompatyczno-pokorny monolog księdza zwieńczony tomaszowym "creatio ex n hilio", wreszcie w oczach pojawiły mu się ogniki zwycięstwa kiedy pożeg nany został słowami - Bóg cię zrozumiał mój synu. Obawiał się księżowskiego oporu i w dalszych tego konsekwencjach widział siebie nieposkromi nym, krnąbrnym winowajcą wśród rozszalałych od skandalu ciotek. A najbardziej bał się spokojnego spojrzenia upokorzonej matki. Tamte chwile, to tylko początek nowego etapu, dzień zadośćuczynienia rodzinnym ideałom, dzień uczciwej zapłaty uradowanym rodzicom za troskliwość i miłość. To także moment wyrwania się w swój świat, w rzeczywistość własnych wyobrażeń.

Zza zakola rzeczki ukazały się pierwsze zabudowania miejskie. Podszedł d żony wpatrującej się w odbłyski słoneczne igrające na pomarszczonej toni

Jerzy [illegible]